

Rozdział 4

Widziałem ją, jak wychodzi z bloku, przeszła obok, w ogóle mnie nie zauważając. Jej spojrzenie błędziło gdzieś bardzo daleko. Ewa zawsze była szczupła, ale teraz była wręcz chuda. Jak to się stało, że tego nie zauważyłem? Przez ostatnie lata nie tylko to, niestety, mi umknęło. Instynktownie poszedłem za nią, jak za przewodnikiem stada, nie zastanawiałem się, po co to robię. Coś mnie ciągnęło. Nie chciałem do niej dołączyć, bo już nie potrafiłem z nią rozmawiać, ani z nią, ani z dziećmi, ani z nikim. Chciałem być blisko niej, czułem się wtedy bezpiecznie. Nie umiałem i bałem się być z nią tak, jak dawniej, wtedy, gdy byliśmy tacy szczęśliwi i zakochani. Teraz widziałem w jej spojrzeniu rezygnację i pogardę. Zawiodłem ją.

Jej roześmiane oczy koloru niezapominajek urzekły mnie od pierwszego spotkania. Potem już tylko pragnąłem tonąć w tym błękiecie każdego dnia. Nasze spotkanie było dla mnie istnym objawieniem. W czasie studiów w Krakowie mieszkalem w akademiku, dzieląc pokój z Sebastianem – fascynatem wspinaczki skałkowej. Dzięki niemu również i ja połączyłem bakcyla. Każdą wolną chwilę poczynawszy od wczesnej wiosny, po późną jesień spędzaliśmy na Skałkach Twardowskiego albo w dolinkach, najczęściej w Kobyłańskiej i Będkowskiej.

I przyszedł w końcu ten najpiękniejszy maj w moim życiu. Wciąż pobrzmiewają mi słowa Józka Barana, które sączyły mi się do ucha każdego wieczoru, gdy zasłuchany usiłowałem zgłębiać tajniki ekonomii.

*„a teraz maj i maj i maj
dokoła się święci
od wonnych bzów szalonych bzów
wprost w głowie się kręci
(...)
i wielka jest majowa moc
kiedy niebo się do ziemi uśmiecha
śpi w twoim wnętrzu chłopiec
w chłopcu pierwszy zachwyty poznaje”¹*

I właśnie pewnego majowego popołudnia wspinałem się na najwyższą ze skał, z której rozciągał się cudowny widok na szmaragdową toń Zakrzówka oraz panoramę Krakowa. Gdy z trudem usiłowałem postawić stopę na szczycie, usłyszałem krzyk i hałas. Spojrzałem w górę i zobaczyłem dość dziwny widok kobiecych nóg próbujących wydostać się spod drewnianego stelaża.

- Będiesz się tak gapił czy mi pomożesz? – otrzeźwił mnie trochę zniecierpliwiony głos właścicielki dość zgrabnych nóg. Oprzytomniałem, wygramoliłem się na skałę i podbiegłem do dziewczyny. Stelaż okazał się sztalugą malarską. Pod nim na soczyscie zielonej trawie leżała bajecznie kolorowa rusałka o długich kasztanowych włosach.

- Gdybym potrafił malować, powstałby piękny obraz o niesamowicie nasyconych barwach – powiedziałem, patrząc w rzucone chabrowe oczy.

Złość malująca się na twarzy dziewczyny ustąpiła rozbawieniu. Zaczęła się dźwięcznie śmiać.

- No tak, to musi wyglądać całkiem zabawnie – powiedziała już bez pretensji w głosie.

Pomogłem jej wstać i dopiero wtedy oszacowałem straty. Barwne plamy na jej żółtej sukience, które wziąłem za wzór tkaniny, okazały się farbą ze zdewastowanego obrazu.

- Przepraszam, to moja wina. Powinienem dorabiać w horrorach, skoro tak dobrze wychodzi mi straszenie.

- Możesz to zaliczyć do swoich ukrytych talentów. – odrzekła i skupiła się na zniszczonym obrazie – Z tego już nic nie będzie – potargała bez chwili zastanowienia papier.

- Masz za to wierną kopię na sukience – wskazałem nieśmiało na plamy, niepewny jej reakcji.

Na szczęście znów usłyszałem jej perlisty śmiech, odetchnąłem z ulgą i zawtórowałem jej moim basem. Nagle niebo przeszyła błyskawica i rozległ się potężny grzmot. Zacząłem zbierać pośpiesznie sprzęt i pakować go do plecaka. A ona stała jak urzeczona, wpatrując się w niebo. Potem szybko rozłożyła sztalugę i zaczęła malować. Kończyłem zwijanie lin, spojrzałem na malarkę, która pochłonięta była tworzeniem swojego dzieła. Dookoła nas grzmiało i błyskały błyskawice, a ona niewzruszona robiła wszystko jak w transie. Jej ruchy pędzlem były wprawne i zdecydowane, niewiele też zastanawiała się nad wyborem kolorów. Burza, nie spiesząc się, krążyła wokół nas, prezentując pełen groźnych pomruków, elektryzujący spektakl. Przybierała coraz to inne kolory od jasnego popielu poprzez granat do ciemnej stali. Niczym dumny paw majestatycznie wkraczała nad królewskie miasto. Zanim pierwsze krople spadły pod nasze stopy, obraz był prawie gotowy. Nie mogłem odróżnić, gdzie kończy się namalowany przez Ewę pejzaż, a gdzie zaczyna rzeczywistość.

- Nie boisz się? – spytałem, gdy ze spokojem dokonywała ostatnich poprawek.

- Jestem wiedźmą z gór. Niczego się nie boję – roześmiała się.

- Jak na wiedźmę zbyt często się śmiesz – zawołałem, pokonując świst wiatru, który zaczął przybierać na sile. Tym razem grzmot rozległ się równocześnie z błyskawicą, co oznaczało, że burza wisi nad nami.

- Chyba czas na nas – mruknąłem niepewnie, bo nie chciałem wyjść na tchórza.

- Raczej tak.

Farby wrzuciła do pojemnika razem z pędzlem. Chwyciła sztalugę i zaczęła schodzić zboczem w stronę lasu. Pobiegłem za nią. Patrzyłem, jak zgrabnie się porusza, balansując ciałem tuż nad przepaścią, na której dnie mieniła się odcieniami ciemnej zieleni woda zalewu. Schroniliśmy się w szczelinie skalnej. Tam przeczekaliśmy nawałnicę, która na moje szczęście trwała bardzo, bardzo długo. Choć czas w towarzystwie Ewy minął mi niezwykle szybko. Zdążyliśmy poznać się nieco bliżej. Wiedziałem już, że Ewa studiuje na pierwszym roku turystyki na AWF-ie, co mnie trochę zdziwiło, bo wziąłem ją za studentkę ASP. Wyznała, że ma dwie pasje – podróżę i malowanie burzowych chmur.

- Jestem łowcą burz – mówiła o sobie. – Chcę uchwycić grozę i piękno natury w trakcie przeszywających niebo błyskawic i gwałtownych porywów wiatru. Chmury i światło, które przez nie przenika, potrafią wydobyć ukryte walory każdego, choćby banalnego krajobrazu. Wszystko nabiera nowych kształtów, a przez to robi się takie tajemnicze i groźne zarazem. To nie to samo miejsce, które widzimy w pogodny, słoneczny dzień.

Tłumaczyła mi to z taką pasją, że słuchałem jej zafascynowany. Z każdym jej słowem nabierałem pewności, że to Ta, na którą czekałem.

Na myśl przyszedł mi tekst Bolesława Leśmiana, który utkwiał mi w pamięci jeszcze w czasie przygotowań do matury.

„Coś srebrnego dzieje się w chmur dali.

Wicher do drzwi puka, jakby przyniósł list.

Myśmy długo na siebie czekali.

Jaki ruch w niebiosach! Słyszysz burzy świst?”²

Udało mi się ją namówić na sprezentowanie mi obrazu, który rozłożony na sztaludze zdążył wyschnąć. W ramach rewanżu za prezent, no i oczywiście przeprosin za całą katastrofę, zaprosiłem ją na wypad do Doliny Kobylańskiej.

- W sobotę też zapowiadają burze, więc weź, to czego potrzebujesz – mruknąłem przy tym porozumiewawczo. - Będę czekał na dworcu pod zegarem.

I tak zaczęły się nasze wspólne plenery malarskie połączone ze wspinaczką. Ewa rozkładała sztalugę i z pełnym skupieniem oddawała się sztuce tworzenia pejzaży. Ja z Sebem i pozostałymi zapaleńcami wspinałem się na skały. Po cichu liczyłem na to, że zaimponuję Ewie moją sprawnością i tężyzną

fizyczną, ale ona była pochłonięta swoją pasją i nie zwracała na mnie uwagi. W czasie odpoczynku zostawiałem moje roześmiane towarzystwo i zanosilem Ewie przygotowany naprędce na butli gazowej improwizowany obiad. Nic szczególnego, był to przeważnie podgrzany bigos albo jakaś zupka z torebki. Zawsze witała mnie z uśmiechem i częstowała jagodziankami. Mówiła, że to jej firmowe ciasto. I miała rację, nigdy nie jadłem tak dobrych drożdżówek. Potem pomagałem jej zbierać cały malarski majdan i dołączaliśmy do grupy. Tam reszta wykończonych amatorów wspinaczki delectowała się drożdżowym specjałem, a ja wprowadzałem Ewę w arkana sztuki wznoszenia się na wyżyny – jak żartobliwie nazywaliśmy nasze hobby. Moja podopieczna okazała się bardzo zdolną uczennicą. Po kilku takich eskapadach mogła uchodzić za profesjonalistkę. Nie dziwiło mnie to ani trochę. W końcu była wiedźmą z gór – jak lubiła o sobie mówić. Gdy samotnie siedzieliśmy na szczycie dopiero, co zdobytej skały, po wyrażeniu achów i ochów na temat pięknych widoków rozciągających się pod naszymi stopami, mogliśmy spokojnie porozmawiać. A rozmawialiśmy o wszystkim. Najczęściej wymienialiśmy poglądy polityczne i ocenialiśmy sytuację w kraju, w którym na naszych oczach zmieniała się historia. To był czas, kiedy po obradach Okrągłego Stołu miało dojść do pierwszych wolnych wyborów parlamentarnych. Ewa była bardzo poruszona, bo jej rodzice byli kiedyś zaangażowani w działalność opozycyjną. Rzadko mówiliśmy o nas samych. O niej wiedziałem tylko tyle, że mieszka gdzieś w Beskidzie Małym, bo często wspominała o wędrownkach po Leskowie. Wywnioskowałem też, że mieszka sama z mamą, a w Krakowie ma pokój u cici na Sławkowskiej. Nie pytałem, bo nie było to dla mnie wtedy takie istotne. Czekałem, aż sama zacznie opowiadać o sobie i rodzinie. Nie nazywaliśmy też tego, co nas łączyło. Bałem się poruszyć ten temat, by niczego nie zepsuć. Uczucie, które powoli się w nas rodziło, było jeszcze zbyt ulotne. Ewa była jak wielobarwny motyl – piękny, ale bardzo delikatny i płochliwy, który mógł zatrzepotać skrzydełkami i odfrunąć. Nawet żartowałem z niej, że żadna z niej wiedźma, co najwyżej, wiedźminka. Dałem jej czas, aż będzie gotowa na to, co chcę jej zaoferować. Od pierwszego naszego spotkania byłem pewny, że z tą kobietą chcę spędzić całe życie. Nie spieszyłem się więc z wyznaniem miłości, tylko cierpliwie otaczałem dyskretną opieką. W czasie letniej sesji urwały się nasze wspólne eskapady. Umówieni byliśmy na wypad do Wąwozu Bolechowickiego tuż po zdaniu ostatnich egzaminów, ale Ewa się nie zjawiała. Byłem na siebie wściekły, że nie wziąłem od niej adresu, albo telefonu. Zresztą nie każdy wtedy miał telefon domowy, a co dopiero mówić o komórkach, które przypominały raczej wielkie ciężkie cegły. O możliwościach internetu nikomu w Polsce, która wychodziła z bloku komunistycznego, nawet się śniło. Na uczelni udało mi się zdobyć jej krakowski adres. Jednak, gdy zjawiłem się pod

wskazanym numerem na ulicy Sławkowskiej, okazało się, że starsza pani, która tam mieszka wyjechała na pół roku do syna w Niemczech. Nie mogłem dłużej tkwić w Krakowie. Na Mazurach czekała na mnie stęskniona babcia Amelia, która potrzebowała mojej pomocy w gospodarstwie i przy letnikach wypoczywających w naszym domu w Stańczykach. Do Krakowa wróciłem końcem września z nadzieją, że spotkam Ewę wraz z rozpoczęciem roku akademickiego. Zdobyłem rozkład zajęć drugiego roku turystyki i cierpliwie czekałem przed AWF-em. Zarwałem dwa pierwsze tygodnie wykładów. Nie zjawiała się. Nikt nie wiedział dlaczego. Egzaminy miała pozdawane na same piątki. Ewa nie utrzymywała z nikim kontaktów. W desperacji wyruszyłem na beskidzkie szlaki, licząc na to, że gdzieś ją spotkam. Spędzałem w górach każdy weekend, ale bezskutecznie. Pod koniec listopada wyruszyłem na ostatnią jesienną wędrowkę. Już dawno było po sezonie, ale za nic na świecie nie chciałem się poddać, to byłaby porażka. Na Groniu zastała mnie śnieżycza i musiałem zejść ze szlaku. Wędrowałem z Rzyk do Andrychowa w strugach deszczu ze śniegiem. Nikt nie chciał zabrać mnie na stopa. Na dworzec w Andrychowie dotarłem przemoknięty i przemarznięty do szpiku kości, w dodatku głodny jak wilk. Wszedłem, więc do sklepu, aby kupić coś do jedzenia. I tam zobaczyłem moją Ewę, jak w białym kitlu sprzedawczyni obsługuje klientów. Ledwie ją poznałem. Włosy miała gładko zaczesane do tyłu w kucyka, a zmęczone oczy zupełnie straciły swój chabrowy blask. Teraz były szare i smutne. Chciałem przeskoczyć ladę i niczym księżę porwać ją na karym koniu do swego zamku, by żyła ze mną długo i szczęśliwie. Problem w tym, że nie miałem swojego zamku, bo trudno by nim nazwać małej pokój w akademiku dzielony z Sebem. O bogactwie nawet mi się nie śniło. Stałem w kolejce, nie wiedząc, co mam powiedzieć dziewczynie, którą bezgranicznie pokochałem i tak długo poszukiwałem. Całe powietrze ze mnie uszło. Zmęczenie i wychłodzenie dało o sobie znać. Zacząłem dygotać. W końcu Ewa na mnie spojrzała. W mgnieniu oka dokonała się w niej cudowna przemiana. Wystarczyło, że na jej twarzy pojawił się uśmiech niedowierzania, by w błękitnych oczach znów rozbłyśły znajome ogniki. Szepnęła coś koleżance do ucha, wyszła zza lady, chwyciła mnie za rękę i zaprowadziła na zaplecze. Nie oponowałem. Gdy zamknęły się za nami drzwi, Ewa wtuliła się we mnie z całych sił. Poczułem ciepło jej delikatnego ciała i łzy na mojej twarzy, nie wiedziałem, czy były moje, czy jej. To ona zaczęła całować moje oczy i zmarznięte policzki.

- Już myślałam, że nigdy cię nie zobaczę – mówiła, nie przerywając muskać mnie ustami po twarzy.

W końcu oprzytomniałem i otoczyłem ją ramionami, z całym dotąd nieznanym mi żarem przywarłem do jej ust, które tylko na to czekały. Trwaliśmy tak przez dłuższą chwilę, aż ktoś otworzył drzwi, które boleśnie wbiły mi się w plecy. Oskoczyliśmy od siebie jak dzieci przyłapane na gorącym uczynku.

Koleżanka poinformowała Ewę, że może iść do domu, po czym porozumiewawczo do niej mrugnęła. Ewa pospiesznie zdjęła fartuch, chwyciła kurtkę i wybiegła tylnym wyjściem, ciągnąc mnie za sobą. Wtuleni szliśmy przez zamek do jej niewielkiego mieszkania w bloku. Niewiele mówiliśmy tej nocy, daliśmy upust naszej tęsknocie, minionej rozpaczy, a w końcu miłości i pożądaniu. Gdy się obudziłem, nie wiedziałem, czy to działa się naprawdę, czy to tylko moje senne marzenie. Nie jeden raz wyobrażałem sobie nasze spotkanie, ale nie przypuszczałem, że będzie aż tak namiętne. Teraz spełniony leżałem blisko niej, wpatrywałem się w jej śpiącą sylwetkę i wsłuchiwałem w jej cichy, miarowy oddech. Przy śniadaniu, które składało się z mleka i kanapek z żółtym serem, opowiedziała mi, dlaczego musiała tak nagle opuścić Kraków. Pod koniec czerwca dowiedziała się o chorobie matki. Rak piersi zaatakował niespodziewanie i bardzo szybko wyniszczył organizm kobiety. Natychmiast po zakończeniu egzaminów Ewa wyjechała, by opiekować się mamą. Szukała pomocy u wielu lekarzy w Bielsku i Krakowie, była także na konsultacjach w Warszawie. Niestety, nikt nie dawał wielkich nadziei, bo choroba była bardzo zaawansowana. Mama była jej jedyną bliską rodziną. Dziadek marynarz właśnie odbywał swój pożegnalny rejs do Ameryki Południowej. Babcia od kilku lat nie żyła. Zmagiła się z tą samą chorobą, co teraz jej córka. Rodziców swojego taty nie poznała nigdy, bo oboje zginęli w Powstaniu Warszawskim, a przybrana ciocia Gienia, która go wychowywała, dawno wyjechała za granicę. O tacie nie wspominała. Sama, więc musiała się zmierzyć z wszystkimi problemami, tymi ważnymi i tymi prozaicznymi. Mama Ewy była bardzo osłabiona po chemioterapii, potrzebowała troski i opieki. Niestety, leki i odżywki, które zalecali lekarze, były bardzo drogie, bo musiały być ściągane z zagranicy. Poza tym Ewa szukała pomocy także u znachorów i bioenergoterapeutów, z rozpaczą czepiała się wszystkiego. Cudowne soki, które miały przywrócić zdrowie i specyfiki o nadzwyczajnych właściwościach, dawały tylko chwilę ułudy. Działały jedynie na wyobraźnię chorych i ich rodzin. Te nieuczciwe praktyki ludzi, którzy wykorzystywali nieuleczalnie chorych do zbijania majątku, mierziły mnie i napawały obrzydzeniem. Szybko, więc stopniały oszczędności matki Ewy trzymane w banku na „lepszy start” dla córki i na „czarną godzinę”, która niestety nadeszła zbyt szybko. Ewa jednak bez wahania sięgnęła po te pieniądze, by zapewnić mamie odpowiednie leczenie. Podjęła także pracę w sklepie, bo o studiach w tym momencie nie mogło być mowy. Z trudem godziła opiekę nad chorą matką z obowiązkami ekspedientki, sprzątaczk i magazynierki w delikatesach. Na szczęście kierownikiem sklepu był dobry znajomy, który skrycie kochał się w matce Ewy. Pan Mieczysław w trakcie choroby Marii pomagał Ewie jak mógł, często zwalniał ją z pracy, by mogła pojechać do szpitala w Krakowie, gdzie leczyła się jej mama. Byłem wściekły, że nie mogę pomóc Ewie

finansowo. Gdy wróciłem do Krakowa, znalazłem pracę, jako stróż nocny, a popołudniami dorabiałem na korepetycjach. Uczyłem się w stróżówce, to tam powstawała moja praca magisterska. Z Ewą spotykałem się, gdy przyjeżdżała z mamą na leczenie. Waletowała wtedy w moim akademiku. Portierzy znając jej sytuację, przymykali na to oko. Za to mogli się delektować pysznymi jagodziankami, które Ewa piekła dla mamy i połowy akademika. Przywoziła zawsze ze sobą słoiki jagód w cukrze, które latem zbierała w górach. Uwielbiałem te krótkie chwile spędzone z nią w ciasnym pokoiku, zanim wyszedłem na nocną zmianę. Zajadałem się ciepłą drożdżówką, popijałem mlekiem i słuchałem kojącego głosu Ewy albo wpatrywałem się w jej twarz, gdy drzemała, zmęczona po całym dniu, na moich kolanach. Widziałem jak przeżywa chorobę matki, jak dusi w sobie wszystkie emocje i stara się nie poddawać rozpacz. Każdą minutę dnia spędzała aktywnie, wypełniała czas praniem, gotowaniem, prasowaniem i pieczeniem jagodzianek. Bała się bezczynności, bo wiedziała, że wtedy jej uczucia mogą się wymknąć spod kontroli. Nie chciała okazywać nikomu swojej słabości, nawet mnie. Ale gdy rano wracałem z pracy poduszka, na której spała była mokra od łez. Nie wiedziałem, jak ją pocieszać, stan jej matki pogarszał się z dnia na dzień. Gdy nadeszło to, co nieuniknione nie było mnie przy Ewie. Musiałem nagle wrócić do domu, by zaopiekować się babcią Amelią, która wtedy, w maju złamała nogę. Mój ojciec pracował w odległym Fromborku i nie mógł zwolnić się z pracy, bo budowa, którą prowadził, wkraczała w najtrudniejszy etap.

Babcia Amelia zawsze była dla mnie jak matka. Moja prawdziwa mama zostawiła mnie i tatę dla innego mężczyzny. Początkowo wzięła mnie do siebie, ale gdy urodziła bliźniaki, wróciłem do taty. Nie umiałem odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Mama pochłonięta noworodkami nie zauważała mnie. Jako sześciolatek nie rozumiałem tego, czułem się zdradzony i oszukany. Moja decyzja była chyba na rękę matce. Nie walczyła o mnie, nawet nie starała się tego maskować. Nasze spotkania z miesiąca na miesiąc były coraz rzadsze i krótsze, aż w końcu stały się sporadyczne. Ażyl znalazłem w ramionach babci Amelii. To ona stała się moją najbliższą i najważniejszą osobą na świecie.

Mama Ewy zmarła 31 maja 1991 roku. Gdy na początku czerwca wróciłem z Mazur, nie zastałem Ewy w akademiku. Zostawiła mi lakoniczną informację: „Mama zmarła. Wracam do Andrychowa”. Pojechałem za nią, zdążyła już pozałatwiać wszystkie sprawy związane z pogrzebem. Wyglądała jak cień – zapadnięte policzki, wyblakłe oczy, szara cera. Pozornie zachowywała się tak jak zwykle, wypełniała swoje codzienne obowiązki, ale myślami błędziła gdzieś daleko. Wszystko, co robiła, było pozbawione energii, prace wykonywała wolno i apatycznie, często zastygała w bezruchu ze wzrokiem utkwionym w jakimś niewidocznym punkcie. Nie płakała, skryła pod pancerzem wszystkie swoje

emocje i uczucia. Wiedziałem, że cierpi, ale nie umiałem jej pomóc. Uszanowałem jej potrzebę wyciszenia i izolacji. Jedyne, co mogłem zrobić, to być przy niej i czekać. Najgorsze jednak przyszło po tygodniu, gdy nagle u Ewy zaczęły się pojawiać ataki paniki. Ewa cała drżała, głośno łąpała każdy oddech, na jej twarzy malowało się przerażenie. Piekący ból przeszywał jej klatkę piersiową. Twierdziła, że w tych momentach czuła się tak, jakby coś zgniatało jej żebra, a żołądek skręcał się w twardą bryłę. Krzyczała, wzywała matkę i wyła z rozpacz. Gdy atak zdarzał się w czasie snu, nie mogłem jej dobudzić. Wszystko kończyło się spazmatycznym płaczem, na który tak długo sobie nie pozwalała. Albo, którego nie mogła z siebie wcześniej wydobyć. Wtedy mogłem służyć jej swoją pomocą, czułem, że jestem jej potrzebny. Ewa wtulała się w moje ramiona i szlochała, wylewając wraz ze łzami swój żal i tęsknotę za matką. Często znużona płaczem, zasypiała, a ja delikatnie głaskałem jej włosy i szeptałem słowa otuchy. Ataki zdarzały się także w ciągu dnia. Powodem były wspomnienia, które głęboko skrywane, nagle przypominały o sobie w postaci apaszki pachnącej jeszcze perfumami matki, czy torebki, która niechcący wypadła z szafy.

Starłem się być przy niej przez cały czas, odpuściłem ostatnie zajęcia przed końcem semestru. Zaliczenia i egzaminy udało mi się przełożyć na wrzesień. Wykładowcy okazali się bardzo wyrozumiali. Szybkimi krokami zbliżało się lato, dni były ciepłe i słoneczne. Zaczynał się sezon urlopowy. Babcia Amelia już nie raz dzwoniła z zapytaniem, kiedy przyjadę. Byłem jej niezbędny, bo po zdjęciu gipsu i rehabilitacji, babcia miała problemy z poruszaniem się. A nasi stali goście, którzy przyjeżdżali do nas już od lat, mieli pojawić się już niedługo. Babcia nie mogła i nie chciała odmawiać im gościny, byli dla niej jak rodzina. Chciałem, żeby Ewa pojechała ze mną, ona jednak nie chciała nawet o tym słyszeć. Byłem w sytuacji patowej. Nie mogłem Ewy zostawić samej, a babcia liczyła na moją pomoc. Kończyły mi się też pieniądze, bo w Andrychowie nie udało mi się znaleźć pracy. I tu z pomocą przyszła Renata, przyjaciółka Ewy, której udało się przekonać ją do wyjazdu. Obiecała, że zajmie się grobem i mieszkaniem na czas naszego pobytu na Mazurach. Miałem wrażenie, że Ewa zgodziła się jechać tylko i wyłącznie, dlatego że czuła się winna wobec mnie. Wiedziała, że poprzekładałem egzaminy, rzuciłem pracę w Krakowie i brakowało mi pieniędzy. Właściciel sklepu zgodził się, żeby Ewa wyjechała, dał jej urlop i poratował nas finansowo, bo nie mieliśmy nawet na bilety. Pan Mieczysław zachował się naprawdę wspaniale. Początkiem lipca, po wyczerpującej podróży przez cały kraj, dotarliśmy do mojej rodzinnej miejscowości. Stańczyki są niewielką wsią położoną na skraju Puszczy Rominckiej. To prawdziwy koniec świata. Panuje tu cisza i spokój. Tylko latem miejscowość ożywa za sprawą letników i harcerzy, którzy mają swoją stanicę nad brzegiem jeziora. W pierwszych dniach po przyjeździe nie mieliśmy zbyt wiele

czasu, by delektować się urokami przyrody. Pierwsi wczasowicze mieli pojawić się za kilka dni. Trzeba było doprowadzić do porządku pokoje gościnne i ogród. Ewa pomagała mi we wszystkim, nawet zajęła się pieleniem ogródka warzywnego. Z każdym dniem widziałem dużą zmianę w jej zachowaniu. Na początku była nieśmiała i małomówna, pogrążona w swych myślach. Sprawiała wrażenie nieobecnej i nieświadomej tego, gdzie jest i co robi. W miarę upływu czasu coraz chętniej angażowała się w pracę i nawet zaczęła wychodzić z propozycjami zmian w naszym domostwie. Bardzo zależało mi na tym, by polubiły się najważniejsze kobiety w moim życiu. Babcia Amelia dyskretnie obserwowała Ewę. Nie narzucała się jej, nie nagabywała pytaniami. Czekwała, aż Ewa sama wyjdzie z inicjatywą. Gdy sytuacja w domu i ogrodzie była opanowana, a letnicy zakwaterowani w pokojach, mogliśmy trochę odpocząć. Na szczęście nasi goście potrafili sami o siebie zadbać. Korzystali z kuchni lub stołowali się u harcerzy. Odpadało, więc gotowanie – największa zmora. Rano i wieczorem sprawnie wywiązywaliśmy się z naszych obowiązków, by cały dzień spędzać na wędrownkach po okolicy. Ewa była zaskoczona pagórkowatym krajobrazem, poprzecinanym licznymi wąwozami i parowami, w których wiła się rzeczka Błędzianka. To dzięki polodowcowemu ukształtowaniu terenu rejon ten nosi nazwę Garbatych Mazur. Naszym ulubionym miejscem spacerów były oczywiście akwedukty. Mosty nieczynnej linii kolejowej należą do jednych z najwyższych w Polsce, sięgają 36 metrów wysokości i dwustu metrów długości. Ich budowę rozpoczęto jeszcze przed pierwszą wojną światową. Po wojnie po linii Gołdap – Żytkiejmy – Gąbin kursowały regularnie pociągi, przywożąc w tę okolicę turystów, grzybiarzy, wędkarzy i narciarzy aż do 1943 roku. Potem Armia Czerwona rozebrała tory kolejowe i tak już pozostało. Jednak wiadukty można podziwiać do dziś. Ewa nie wierzyła, gdy mówiłem jej, że na Mazurach można zimą zjeżdżać na nartach, dopiero gdy zabrałem ją na Szewskie Wzgórza, uwierzyła. Teren uformowany przez morenę czołową zyskał uznanie Ewy. Jednak najważniejsza dla niej okazała się wycieczka rowerowa do Cisowego Jaru i Magicznego Jeziora. W czasie odpoczynku nad jeziorem opowiadałem jej legendy mazurskie. Najbardziej poruszyła ją legenda o rozdzielonych wodach Magicznego Jeziora, które wypływały w dwie różne strony. Puentą opowiadania była myśl, że wszystko, co rozłączone i tęskni za sobą, znów kiedyś się połączy, tak jak wody jeziora, które na północ uchodzą do dorzecza Pergoty, a na południe do dorzecza Wisły spotkają się ponownie w Bałtyku. Po wysłuchaniu gawędy Ewa wstała i powiedziała, że chce być przez chwilę sama. Długo stała nad brzegiem jeziora. Słyszałem jej cichy płacz i szept. Nie wiem, co mówiła taflę wody, ale domyślałem się, że rozmawia z matką. Wróciła do mnie z roz pogodzoną twarzą i uśmiechem w oczach.

- Dziękuję – powiedziała i mocno przytuliła się do mnie.

Powoli, stopniowo nawiązywała się też nić porozumienia między nią a Babcią Amelią. Często wieczorami zatapiały się w rozmowie, przy nieocenionej nalewce z pigwy, domowej produkcji. Zmiana otoczenia, nowe obowiązki, wycieczki, mazurska legenda i cudowna „terapia” mojej babci zadziałały. Wróciła dawna Ewa. Coraz rzadziej nękały ją nocne koszmary i ataki nieuzasadnionej paniki w ciągu dnia. Pod koniec sierpnia wylegiwaliśmy się nad Małym Tobellusem. Ewa położyła głowę na moim torsie i zwierzyła mi się.

- Wiesz, potrzebowałam tego czasu spędzonego tutaj. Po śmierci mamy, tak, jak to jezioro po wybuchu gazu błotnego zniknęło z powierzchni ziemi, ja ukryłam się głęboko w sobie. Potrzebowałam czasu. Zobacz, wody jeziora są kryształowe, muł i błoto opadły na dno. Ja też musiałam się przefiltrować. I jestem.

Rozumiałem, co miała na myśli. 31 maja 1926 roku wydarzyło się coś nieprawdopodobnego. Szalała wiosenna burza, ciśnienie atmosferyczne było bardzo niskie i to najprawdopodobniej było przyczyną wybuchu gazu błotnego, który wytworzył się pod dnem jeziora z butwiejących roślin. Jezioro na chwilę przed eksplozją pokryło się warstwą szlamu, a potem wybuch rozrzucił grudy ziemi i wodę na odległość kilkuset metrów. Przez ponad dwa miesiące jezioro przykrywała gruba warstwa błota. I chyba stąd wzięła się druga nazwa tego jeziora – Jezioro Przewrócone.

Nasz pobyt na Mazurach zakończył się z początkiem września. Ewa wróciła do pracy w sklepie, a ja przysiadłem nad książkami, aby zdać zaległe egzaminy. Nie miałem odwagi powiedzieć Ewie, że jestem wytypowany do stypendium zagranicznego. Wszystko zależało od rezultatów egzaminów. W czerwcu nie wiedziałem, czy będę mógł pojechać do Edynburga ze względu na to, co się wydarzyło. Teraz, gdy Ewa doszła do siebie, uznałem, że mogę powalczyć o stypendium. Ewa, mimo moich obaw, przyjęła to całkiem spokojnie. Wiedziała, że oznacza to dla nas rozłękę, na co najmniej pięć miesięcy, ale rozumiała też, jakie to dla mnie ważne. Ona również miała swoje plany, zamierzała przez najbliższy rok pracować i odłożyć pieniądze, żeby móc wrócić na studia w następnym roku. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy na wyniki egzaminów i decyzję uczelni. Wyjazd do Edynburga był dla mnie dużą szansą. W ciągu zimowego semestru mogłem odbyć staż w jednym z poważnych banków, a do tego uczestniczyć w wykładach i ćwiczeniach na uczelni. W czasie, gdy rodziła się polska demokracja i nowe podejście do ekonomii stypendium na zachodzie było ewenementem, a właściwie cudem. I bardzo chciałem z tego skorzystać, wiedziałem, że, da mi ono więcej niż całe cztery lata studiów. Zdobyte doświadczenie byłoby atutem przy szukaniu pracy. Pod koniec września dostałem powiadomienie o otrzymaniu stypendium. Szalałem z radości, Ewa cieszyła się ze mną, choć widziałem w jej oczach smutek i lęk. W ostatni nasz

wspólny weekend wyruszyliśmy na wędrowkę po Beskidach. Zatrzymaliśmy się w schronisku pod Groniem Jana Pawła II. To jedyny szczyt na świecie noszący imię papieża – Polaka. Schronisko nazywa się Leskowiec, a to, dlatego, że dawniej pobliski szczyt nazywał się Leskowiec. Jednak, gdy austriaccy geodeci i kartografowie przed I wojną światową kreślili mapy tego terenu, pomylili nazwy szczytów. Nazwę, Leskowiec otrzymał szczyt, który wcześniej zwał się Beskidem, natomiast dawny Leskowiec nazwano Jaworzyną, a w 1981 roku jeszcze nieoficjalnie przemianowano go na obecną nazwę, tak bliską wszystkim Polakom – Groń Jana Pawła II. Trochę to zagmatwane, jednak nie bardziej, niż historia tych terenów.

Ewa opowiadała mi, że w pobliżu łamanej Skały znajduje się ukryta pod wodospadem jaskinia – największa na tym terenie. Koniecznie chciałem ją zobaczyć. Przedzieraliśmy się przez las wąską ścieżką, gubiąc się, co chwila. Jednak nasz trud został nagrodzony. Odnaleźliśmy niewielki strumyk, który miał doprowadzić nas do celu. Nagle struga wody zniknęła nam z oczu. Zeszliśmy ścieżką w dół i zobaczyliśmy ponad dwumetrowy wodospad, który zakrywał wejście do groty. Chwyciłem Ewę za rękę i ostrożnie weszliśmy do jaskini utworzonej w skalnej niecce, przykrytej od góry ogromnym płaskim głazem. Grota okazała się dość wysoka, miała około dwóch metrów wysokości i sięgała kilkanaście metrów w głąb wnętrza skały. Od początku naszej wyprawy szedłem tu z jednym zamiarem, chciałem poprosić Ewę, aby została moją żoną. Była zaskoczona, gdy zobaczyła, że klękam i wyjmuję mały, złoty pierścionek. Nie brałem pod uwagę, tego, że może mi odmówić. A jednak... Widziałem, że się zdenerwowała. Nie była gotowa na moją propozycję. Poprosiła, bym wstał. Nie chciała wprost odpowiedzieć na zdane pytanie. W końcu usłyszałem, że nie chce teraz podejmować tak ważnej decyzji. Chciałaby poczekać z rozmową na ten temat do mojego powrotu ze Szkocji. Teraz wiem, że powiedziała to tylko ze względu na mnie. Nie chciała, żebym miał wobec niej jakieś zobowiązania. Tak naprawdę, bała się tego, co przyniesie przyszłość. Czy wrócę ze stypendium i czy moje uczucie do niej przetrwa czas rozłąki. Ale wtedy, w jaskini, byłem rozczarowany i wściekły. Moje ego ucierpiało...

Wyjechałem i przez kilka pierwszych tygodni nie odzywałem się do Ewy – nie dzwoniłem, nie pisałem listów. Jednak z czasem złość ustąpiła miejsca tęsknocie. Wokół mnie działo się tyle ekscytujących rzeczy, po raz pierwszy byłem za granicą i wszystkim się zachwyciłem. To był zupełnie inny świat. Sklepowe półki wypełnione po brzegi, mili urzędnicy, punktualne autobusy. I brak absurdów. Chciałem się z kimś podzielić moimi wrażeniami, a tym kimś mogła być tylko Ewa. W końcu zadzwoniłem. Nie wiedziałem, jak zacząć rozmowę. Było mi wstyd za moje zachowanie, jednak Ewa ucieszyła się z mojego telefonu, słowem nie wspomniała o naszym ostatnim spotkaniu, jakby w ogóle

nic między nami nie zaszło. Odetchnąłem z ulgą. Odtąd dzwoniłem regularnie raz w tygodniu. Nie mogłem pozwolić sobie na długie rozmowy, bo musiałem oszczędzać, żeby starczyło mi na utrzymanie. Czas w ciągu dnia biegł, a właściwie galopował. Poznawałem tylu ciekawych ludzi, uczyłem się mnóstwo nowych rzeczy, wchodziłem w arkana bankowości, jakiej w Polsce dotąd nie znano. Jednak bezsenne noce dłużyły mi się w nieskończoność. Brakowało mi Ewy. Nie raz miałem pokusę, by rzucić staż i przyjechać, choć na kilka dni do Polski. Świt przywracał mi trzeźwość myślenia i znów porywał mnie w wir nowych obowiązków, by wieczór mógł rzucić mnie w ramiona tęsknocie i marzeniom. Funkcjonowałem tak przez długie pięć miesięcy.

Z ogromną ulgą wracałem do kraju, do mojej Ewy. Nawet przez chwilę nie pomyślałem, że może być już nie moja. Uświadomiłem to sobie, jadąc w autobusie do Andrychowa i przeraziłem się. W naszych rozmowach nic nie wskazywało na to, że Ewa może być z kimś związana, ale o nas również nie mówiliśmy. Nie padły żadne deklaracje ani wyznania. To był taki czysto przyjacielski układ. Na miękkich nogach wysiadłem z autobusu i niecierpliwie rozglądałem się za Ewą. Stała niedaleko przystanku, ubrana w jasny płaszcz, spod którego wychodziła żółta falbana sukienki. Podeszliśmy do siebie powoli, nie wiedząc jak się przywitać. W końcu nie wytrzymałem i wziąłem ją w objęcia. Usłyszałem jej dźwięczny śmiech i z ulgą wypowiedziane słowa: „Nareszcie”. Jeszcze tego samego dnia musiałem wrócić do Krakowa. Czekwały na mnie kolejne obowiązki na studiach. Musiałem dokończyć pracę magisterską i zdać relację z praktyk. Przez najbliższe kilka tygodni tylko tym się zajmowałem. W końcu uporałem się ze wszystkim i jak na skrzydłach pofrunąłem do Ewy. Był maj, trochę deszczowy i pozornie nieprzypominający wiosny, ale przyroda nie próżnując, przygotowywała się do lata. Gdy w końcu nadszedł długo oczekiwany słoneczny dzień, świat zmienił się jak za dotknięciem czarodziejki. Intensywność barw potęgowana blaskiem promieni i feeria zapachów kwitnącego bzu, dodawała każdemu energii i chęci życia. Ewa zaproponowała spacer po lesie. Ucieszyłem się, że znów wyruszymy na szlak. Jednak Ewa wsadziła mnie do PKS – u i poinformowała, że jedziemy do Lanckorony. Trochę się zdziwiłem. Widok z okna autobusu szybko rozwiązał moje rozterki. Urzekła mnie dziwna forma Lanckorońskiej Góry, która wyróżniała się na tle krajobrazu. Było coś magnetycznego w panoramie tego małego miasteczka. Wydawało mi się, że wjeżdżam do zupełnie innej krainy, odrębnego państwa czy też księstwa. Tak, Księstwo Lanckorońskie to dobra nazwa. Towarzyszyło mi dziwne uczucie – lekkiego niepokoju, fascynacji i zaciekawienia. W końcu byłem człowiekiem „światowym”, skąd, więc takie doznania zupełnie niepasujące do okoliczności? Nie umiałem tego wyjaśnić w jakiś racjonalny sposób, ale to,

co wtedy czułem, pamiętam do dziś. I zawsze, gdy przyjeżdżałem do Lanckorony, emocje były podobne.

Wysiedliśmy w Rynku okolonym małymi, bardzo starymi chatkami, które nadawały urok temu miejscu i sprawiały, że czas cofał się o ponad wiek. Ewa wzięła mnie za rękę i oprowadziła po niewielkiej miejscowości.

- Tu spędziłam najwspanialsze chwile mojego dzieciństwa – powiedziała wskazując na mały domek stojący nieopodal szkoły. – Niewiele pamiętam, bo miałam zaledwie 6 lat, gdy przeniosłyśmy się z mamą z Lanckorony do Andrychowa. Jednak byłam tu bardzo szczęśliwa. Tata często brał mnie na barana i cwałował ze mną dookoła rynku, udając, że jest moim czarnym rumakiem, a ja księżniczką i uciekamy przed złą czarownicą.

Obeszliśmy stromy, brukowany Rynek i okoliczne uliczki, zafascynowani architekturą sprzed niemal stu pięćdziesięciu lat. Domy były położone dość ciasno, jeden obok drugiego. Stały bardzo blisko ulicy, więc wścibscy turyści mogli zerkać przez nisko osadzone okna do wnętrza. Każdy dom miał przedłużony dach charakterystycznym okapem wysuniętym od frontu, co tworzyło podcienie. Dawniej, uznawano, że granice posesji kończą się tam, dokąd sięga budynek, więc przedłużając zadaszenie, powiększano własny teren. Podcienia wykorzystywano do wystawiania towarów w czasie licznych targów i jarmarków. Charakterystyczne szerokie bramy wiodły przez sień na podwórze. Blisko siebie stojące domy oddzielone były miedzuchami, wąskimi ścieżkami biegnącymi miedzą, czyli granicą działki. Gdy doszliśmy ulicą Świętokrzyską do rozwidlenia, Ewa wskazała na drogę opadającą w dół, okoloną drzewami.

- Tutaj razem z rodzicami przychodziliśmy zjeżdżać na sankach. Mieliśmy ogromne sanki, więc mieściliśmy się na nich w trójkę. Siedziałam między rodzicami i zachwycona wołałam: „szybciej, szybciej”, a mama krzyczała ze strachem do taty: „hamuj, hamuj” – Ewa uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Raz, w tajemnicy przed mamą, poszłam z tatą na nasz saneczkowy tor, było cudownie. Ostatni zjazd zakończyliśmy efektownie w zaspie. Niestety, nasza wyprawa nie uszła uwadze mamy. Wróciliśmy cali przemoczeni, a tata miał potarganą kurtkę, bo zaplątał się w krzakach, po jednym z brawurowych zjazdów. Dostaliśmy niezłą burę. Do dzisiaj w szafie wisi kurtka taty z łatą na rękawie – zakończyła opowieść i posmutniała.

Skręciliśmy w lewo i zaczęliśmy się wspinać na Górę Zamkową. Niestety, zamek wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego był już tylko ruiną. Został zniszczony w wyniku kilkumiesięcznego oblężenia podczas Konfederacji Barskiej. Potem Lanckorona trafiła do austriackiego zaboru, więc upływający czas i natura dokonały reszty. Jednak ruiny porośnięte trawą i krzewami, otulone poranną mgłą, wydały mi się niesamowite, prawie nierealne. Promienie słońca nieśmiało skradały się po liściach, muskając budowlę kamień po kamieniu. Mury sprzed

setek lat wyłaniały się zza zastłony oparów mgły. Staliśmy w ciszy u podnóża zamku, zauroczeni spektaklem, który odegrała dla nas natura. Nie chcieliśmy niepotrzebnym gestem czy słowem zburzyć tej magicznej chwili. Gdy słońce rozproszyło resztki mgły, ruszyliśmy alejką okalającą wzgórze. Wędrowaliśmy, podziwiając widoki, które gdzieś wyłaniały się spoza drzew. Czułem się szczęśliwy, idąc wśród śpiewów ptaków, czując woń leśnych kwiatów i trzymając za rękę kobietę, którą kochałem. Gdy weszliśmy na nową ścieżkę, Ewa zatrzymała się i szepnęła mi do ucha:

- To Aleja Cichych Szeptów.

- I będziemy tu tylko szeptać? – odmruknąłem jej swoim basem.

- O tajemnicach mówi się bardzo cicho...

- Jestem trochę przygłuchy, bo słoń nadepnął mi na ucho – próbowałem zażartować, aby trochę rozluźnić atmosferę, która zrobiła się dziwnie poważna. Czułem się nieswojo.

- To, co chcę ci powiedzieć, masz usłyszeć sercem – powiedziała i poprowadziła mnie wśród budzących się konwalii, na mały skrawek zieleniącej się trawy.

Rozłożyłem moją kurtkę na ziemi i usiedliśmy blisko siebie. A Ewa wtulona we mnie cicho szeptała to, co tak bardzo chciałem usłyszeć. Na przemian czerwieniłem się i bladłem, z każdym jej muśnięciem warg żar moich uczuć potęgował się, aż w końcu nie byłem w stanie dłużej się powstrzymać. Pragnąłem jej jak nigdy dotąd. Odszukałem jej ust i objąłem mocniej, tak, że z trudem mogła oddychać, ale nie odsunęła się, tylko przywarła do mnie całym swym kruchym ciałem. Czułem jej łzy spływające po policzku pomieszane z moimi. Byłem szczęśliwy, chciałem to wykrzyczeć, ale Ewa powstrzymała mnie, kładąc mi palec na ustach.

- Nie musisz krzyczeć, one i tak to usłyszą – Ewa zaskoczyła mnie, tym stwierdzeniem.

- One?

- Anioły.

- Anioły?

- Tu mieszkają anioły, spacerują tą aleją i szepczą.

- Co szepczą?

- Tajemnice... - Ewa odsunęła się ode mnie i spojrzała mi w oczy. – Gdy chcę porozmawiać z moimi rodzicami, przychodzę tutaj. Wierzę, że tu są i słyszą mój szept. A ja czuję ich obecność. Przyproceedziłam cię, bo chciałam im przedstawić – zawahała się na chwilę – mojego przyszłego męża, o ile zgodzisz się nim być – zakończyła ze śmiechem. Zawtórowałem jej. Śmialiśmy się do utraty tchu, szczęśliwi, że mamy siebie. Takiego biegu wydarzeń nie

przewidziałem, zerwałem, więc dla Ewy bukiet konwalii, a na palec włożyłem jej splecione źdźbło trawy.

Ślub wzięliśmy we wrześniu w zabytkowym kościele w Lanckoronie. Niewielu gości pojawiło się na uroczystości. Najważniejsi jednak dotarli – moja babcia i tata, dziadek Ewy z Gdańska, kilku moich przyjaciół ze studiów i koleżanki Ewy, no i oczywiście... anioły.

Zamieszkaliśmy w Krakowie, w mieszkaniu cioci Ewy przy ulicy Sławkowskiej. Ewa wróciła na studia, a ja po obronie pracy magisterskiej otrzymałem propozycję rozpoczęcia studiów doktoranckich. Zrezygnowałem jednak, bo tak jak przypuszczałem, staż w Edynburgu otworzył mi wiele możliwości na rynku pracy. Zaproponowano mi stanowisko w jednym z nowo otwartych banków w Krakowie. Przez pierwsze lata piąłem się wytrwale po szczeblach kariery, byłem sumiennym pracownikiem, a właściwie pracowolikiem. Wiecznie nieobecny w domu próbowałem rekompensować rodzinie stracony czas w weekendy i wakacje. Po niespełna trzech latach małżeństwa na świecie pojawiła się Ania. Postanowiliśmy zamieszkać w Andrychowie, z dala od wielkomiejskiego zgiełku. Ewa ponownie zrezygnowała ze studiów i zajęła się wychowywaniem dzieci, bo dwa lata później urodził się Mateusz. Ewa całą swą uwagę skupiła na dzieciach, była dla nich cudowną matką. Podziwiałem ją, miała dla nich tyle cierpliwości, ciepła i czasu. Ja byłem nadal zajęty, awansowałem i organizowałem oddział banku w Bielsku - Białej. Co prawda zaoszczędziłem czas na dojazdach, bo dystans zmniejszył się prawie trzykrotnie, ale pracy miałem równie trzykrotnie więcej.

To był ciężki czas, zarówno dla mnie, jak i dla Ewy. Jedynym plusem było to, że finansowo stanęliśmy na nogach. Udało nam się za preferencyjny kredyt odkupić od spółdzielni opuszczone mieszkanie, które sąsiadowało z naszym i przestaliśmy się gnieść na czterdziestu metrach kwadratowych. Dodatkowy pokój, pralnia z suszarnią zagospodarowana z dodatkowej łazienki i mały gabinet przerobiony ze ślepej kuchni, który Ewa zagarnęła dla siebie, znacznie poprawiły nasze warunki mieszkaniowe. A gdy awansowałem na dyrektora oddziału, zaczęliśmy się zastanawiać nad kolejnym kredytem, tym razem na kupno domu.

Zamyślony, nie zauważyłem kałuży. Stałem w błocie, a zimna, brudna woda wlewała mi się do buta. Ocknąłem się i stanąłem obok na chodniku. Zacząłem się rozglądać po okolicy i szukać sylwetki Ewy. Zauważyłem, jak znika za bramą cmentarza.